

MAROKO 2009

W życiu piękne są tylko chwile i dlatego warto żyć jak śpiewał nieodżałowany Rycho R. I to jest absolutna prawda. Do tego to właśnie owe chwile a nie my, jak nam się wydaje, decydują kiedy i skąd do nas przyjdą. Jakby ktoś zapytał mnie dwa miesiące temu: felek jedziesz do Afryki ?, potraktowałbym to jak kiepski żart. Ja nawet z Europy w życiu nie wychyliłem nosa. Tymczasem przyszło samo. Jedziesz? pewnie, że pojechałbym, ale wiesz... rodzina, praca, obowiązki....My jedziemy na majowy weekend plus kilka dni, jedź z nami. 10 dni to mało 3 dni jazdy do Hiszpanii trzy z powrotem o pobycie na miejscu nie ma co marzyć. W pracy hity z satelity, w domu też nie za słodko.

Chłopaki jadą za dwa tygodnie a ja nic nie mogę zrobić. Prawie wszystko mówi nie. Prawie, bo tylko Renata mówi jedź. Chwile później kolejne światło w tunelu. Muszę załatwić jedną sprawę, której nikt nie chce się podjąć w tydzień. Ale co, ja nie dam rady ? Jak nie jak tak. Dzień w dzień po robocie sam strugam do drugiej w nocy. W między czasie w pracy udaje się załatwić zastępstwo. Cieniutkie światełko wychyla się z tunelu. Środa wieczór puzzle poukładane. Jeszcze tylko przygotować sprzęt, spakować się i Dzida. O 20 wchodzę do garażu zastanawiam się na tym jak przygotować sprzęt na wyjazd. Mało czasu. Wystarczy na zmianę oleju i posprawdzanie paru śrubek, a jeszcze trzeba się zpakować. Ręka opatrzości popycha mnie w stronę tylnego koła. Coś jest nie tak. Wybijam łożyska. W jednym zaczyna się rozpadać koszyk, a kulka lata luzem.



Jest 22 skąd wezmę łożyska o tej porze. W takiej sytuacji tylko można liczyć na szczęście, czy jak to tam sobie nazwiecie. Po drugim telefonie łożyska jadą do mnie. Nie ja po nie,

tylko one do mnie. I jak tu nie wierzyć w opatrność. Po północy melduję się w łóżeczku. Jeszcze tylko się spakować, rano do pracy i ahaj przygodo. Mimo braków snu od kilku dni, nie mogę zasnąć. Rano pół godziny na pakowanie. Ze słynnej listy Podosa co chwilę znikają zbędne pozycje. Najpierw wycinam połowę, a potem połowę z pozostałej połowy. Muszę się zmieścić w kufer i torbę na zbiornik.... Przecież nie jadę na rok. W pracy z podniecenia nie mogę się skupić. Wreszcie wybija 16. Wpadam do garażu wytaczam Afrykę i ruszam. Ruszyłem i czuje że skrzydła mi rosną jak pegazowi po redbulu. Kurde jadę do Afryki...w życiu bym nie przypuszczał, że to się uda.

Docieram to Patiomkina. Tam jest punkt pakowania galery. Z konieczności jedziemy samochodem do Hiszpani. Samochodem we trzech możemy jechać non stop. Dzięki temu zaoszczędzamy dwa do trzech dni. To dla nas oznacza dwa razy tyle czasu w Afryce. Na przyczepie ładują dwa XTeki i Afryka. Na biegu dorabiamy uchwyty do mocowania motorów. Mamy jakieś sto kilo powyżej dopuszczalnej ładowności przyczepy.



Opony pompujemy na 3,5 at. Przynajmniej nie wyglądają na flaki. Do Wyszkowa dałoby radę, ale my mamy trzy i pół tysiąca kilometrów w jedną stronę. Nie ma wyboru za późno. Dociera Jurand. Jesteśmy w komplecie. Motory stoją jak struny, bambetle na furze i my trzech jeźców apokalipsy, gotowi na wszystko. Jeszcze po kiłbasce i krzyż na drogę.

Zegar bije 22 ruszamy. W przadziale bagażowym improwizuję kuszetkę. Między kuframi, kaskami i zapasowymi oponami udaje mi się wygospodarować całkiem zgrabną sypialnię.



Odlatuję natychmiast aby nadrobić braki snu z dwóch tygodni. Przed świtem zmiana wahty. Siadam za kierownicę i zaczyna się jazda. Dociera do mnie, że nie byłem dalej niż w Alzacji. Od dwóch tygodni chodzi za mną jedynie piosenka „desert rose” Stinga śpiewane razem z Cheb Mami. Właściwie to wszystko co wiem o afryce i Maroku. No nie, jest jeszcze jedno. Wszyscy wiemy, że czeka nas zemsta faraonów. Sensacje gastryczne przy zmnianie kontynetu. Ponoć prawie nieuniknione. Boimy się tego wszyscy. Okazuje się, że żaden z nas nie umie po francusku nic ponad bonzur.

Jakoś to będzie. Każdy mijany motor rani me serce. Nie sądziłem, że kiedyś będę podróżował z motorem na przyczepce. Ale coż cel uświęca środki....kto to mówił? Chyba nie wspominają go dobrze. Życie płynie na kolejnych zmianach za kierownicą. W zasadzie budzimy się nie wiedząc gdzie jesteśmy. Zchodzący kierowca pokazuje kierunek wyjazdu. Jedziemy przed siebie. Kolejny świt zastaje nas już w Hiszpanii. Non stop coś za oknem. A to miasta, a to sady. Droga jak mażenie nic tylko zwalać motory i porzucic galerę gdzieś przy drodze.



W pewnym momencie decyzja dojzewa do wcielenia w czyn. wsiadamy na maszyny i dzida. Galera pozostaje za nami.



Próbujemy jechać bocznymi drogami. Jednak co chwila lądujemy na autostradzie. W końcu docieramy do Almerii. Jedyne co do tej pory ustaliliśmy to, że tam wsiadamy na prom do afryki. Almeria jest niespecjalnie duża. Ale uroku nie da się jej odmówić. Prom odpływa o północy na drugim brzegu jest rano. Zalety: jakieś 400 km bliżej niż do Algeciras i można się spokojnie wyspać podczas przeprawy. Kupujemy bilety po pańsku z kabiną. Ruszamy w miasto na wycieczkę. Do odprawy mamy kilka godzin. Wyjerdzając z potru spotykamy dwie kopane XRki. Młody chłopak max 20 lat wygląda na wystraszonego. Jakby chcąc unikać rozmowy wspomina o koledze. Ponoć tamten mówi po hiszpańsku. Tylko czy któryś z nas mówi po hiszpańsku. Przychodzi Jean Claud – nasz doby duch jak sie ma jeszcze okazać.



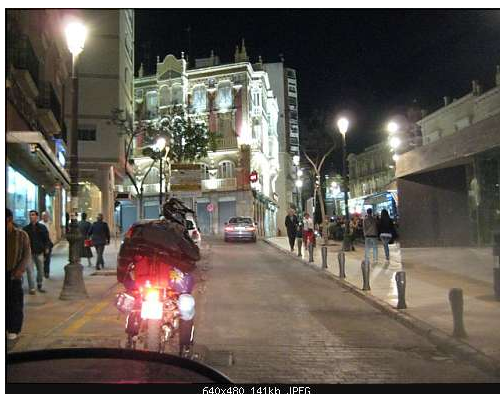
Też jadą do Maroka. Chłopaki mają po plecaku i małej torbie. No i zbiorniki większe niz afryka. Wyglądamy przy nich jak wielbłądy. Choć z listy Podosa ja mam góra jedną czwartą. Pytają nas o ceny biletów. My na miejscu płaciliśmy po 120 a oni 240 super

ekstra tanio z rezerwacją przez internet na ileś tam czasu na przód. Po jakimś czasie znajdujemy różnicę. Oni mają bilety w obie strony, my w jedną. Określenie chłopaki jest o tyle nie na miejscu, że oni wyglądają jak dziadek z wnukiem. Jean Claud był tam już nie raz i wie co i jak. Jeszcze się o tym przekonamy. Jedziemy w miasto. Trzeba coś zjeść. Nie trafiamy najlepiej. Wycieczka za to jest zdecydowanie fajniejsza. Widok z cytadeli na miasto i port – bezcenne.



Lekko wyludnione miasto ożywa z nadejściem zmroku. Ze wsząd wylażą ludzie. Starsi, młodszy i ci już bardzo dorośli. O tej porze Warszawa w porównaniu z niewielką Almerią to pustynia. Wszędzie coś się dzieje.





Wąziutkie uliczki tętnią życiem. Zjeżdżamy do portu. Na parkingu sajon. Furgony zapakowane po dach, a i to mało. Na dachu jeszcze pół wysokości różnych bambetli. Wszystko co się da. Jakies Tobolki, fotele , stare rowery, koce słowem wszystko. Obok nas zatrzymuje się dostawczy stary mercedes 207. Posklejany plastrami i pogiety na kazdym kawalku. Na dachu maneli od metra. Z bagażem jest chyba wyższy niż dłuższy.



Odsuwają się drzwi wylewa się z niego ze dwanasie osób. Samochód to oczywiście furgon bez szyb. O 23 otwierają brame do wjazdu na prom. Karawa rusza. Wjeżdżamy jak do jaskini. Pan pokazuje nam miejsce. Sizalowym sznurkiem wiąże maszynę do poręczy. Mija nas Jean Claud z Niko. Starszy zagadał coś z obsługą i jadą po pochylni na pierwsze pietro garażu. My toboły na plecy i pniemy sie po schodach. Odnajdujemy kabinę wielkosc przedziału kolejowego. I tak jest nie najgożej. We trzech mamy czwórkę, ale ruszyć jest sie ciężko. Po dwóch dobach w samochodzie łazienka z prysznicem zakrawa na raj.

Kabina jest bez okna za to z widoczkiem z fototapety. Po kilku chwilach spaceru znam już wszystkie zakamarki promu. W sumie niewielki stateczek. O północy żegnamy stały ląd.



Po wyjściu z portu do burty dobija motorówka. Niezła jazda mimo, że na promie nic nie czuć, to motorówką fala rzuca na wszystkie strony. Z dziury w burcie po sznurkowej drabine schodzi na pokład motorówki pilot i adios. Aż dziw, że trafił w pokład. Pewnie dla niego to norma, bo od lat nic innego nie robi.



W nocy śnię mi się sceny z Titanica budzę się w naszej klaustrofobicznej dziupli i nie mogę ustać na nogach. Buja na otro. Czuję się mocno nieswojo. A może zarzyte krople sztormowe utrzymują mój żołądek jeszcze w jako takim stanie.

Wychodzę na górę i nic nie widać – czarna dziura. Po imprezie z sziszą na rufie zostały tylko smieci. W przedziałach fotelowych powyjmowane poduszki z foteli i goście śpiący pokotem na podłodze.

W knajpie paru koleśi śpi na stołach jak prosiaczki na półmiskach. Odkrywam jeszcze trzech motorniczych. Wracam na swoja pułke do „szafy” dokończyć noc.

Budzę się znowu jeszcze przed świtem, prawie jak pobożny muzułmanin. Wyczołguje się ze swojej szuflady i wychodzę na górę. Szaro i pochmurno. Buja jak bujało. Z mgły wyłania się nasz początek Afryki. Przylądek Trez Forszez. Na lewej burcie wstaje słońce. Bez żadnych spektakli. Ledwo je widać przez chmury. Jakoś inaczej sobie to wyobrażałem. Zwlekamy się z manelami i wiążemy to wszystko do naszych wielbłądów. Z promu zjeżdżamy ostatni.



Wizyta na stacji, żeby zatankować. Melilla to strefa wolno cłowa i paliwo jest tanie. Zdziwko, stacja zamknięta. Jedziemy dalej. Przed jednym z barów widzimy motorki francuzów.



Wpadli na śniadanko. Też się zatrzymujemy. Jean Claud zaczyna nam wyjaśniać; tu jest dwie godziny wcześniej. Czyli jest szósta. Nasłuchaliśmy się, że niczego co jest gotowane, pieczone i w ogóle nie jest wrzące nie należy dotykać ustami. Nawet zęby myć gotowaną wodą. Z kąd ja tyle gotowanej wody wezmę. Na wszelki wypadek kupiłem sobie paczkę gum do żucia. W pewnym sensie trochę to załatwi sprawę higieny.

Pani w barze mówi wyłącznie po hiszpańsku. Skończyło się na 3 razy kawa. Na tyle nam starczyło zdolności językowych. Od francuzów dowiadujemy się wielu cennych rzeczy. Śniadanie ważna sprawa bo czeka nas ze trzy godziny na granicy. Jakoś cyrki na granicach ulotniły mi się z pamięci wraz z nastaniem strefy szengen. Podchodzi do nas jakiś koleś. Coś tam chce. Oferuje wymianę. Daje dychę za euro. Ponoć kiepsko. W banku można dostać 12. Na dużej stacji schella też można wymienić. Gość nie daje za wygraną. Ciągłe nagabuje francuza. Stary lis. Nie daje się łatwo. Nie opuszcza nas, aż do odjazdu. Stacja jest zamknięta. Banki też. Nie da się nigdzie wymienić. Jest niedziela, a do tego bardzo wcześnie. Sama Melilla sprawia miłe wrażenie.



Ładne, stare domy, palmy wszystko zadbane. Dojeżdżamy do granicy. Zaczyna się meksyk. Czyste chodniki natychmiast zginęły za hiszpańskim szlabanem. Totalny bajzel. Mnóstwo samochodów stojących bez ładu i składu. Dookoła mur z betonowych płyt podobny do berlińskiego. Niezabezpieczone wykopy. Budy strażników wyglądają jakby 10 minut temu zakończył się obstrzał moździerzowy.



Tolany syf , sterty smieci i wszechobecny kurz. Całe tabuny ludzi stojących w cielętnikach do okienek.



Niezły bejrut, tak bejrut do chyba właściwe określenie. Natychmiast znaleźli się „maj frend”. Słyszałem o nich „dużo dobrego”. Przychodzą oferują druczki i pomoc w załatwieniu wjazdu bez kolejki. Potem kasują za pomoc 10 euro i znikają. Ty zostajesz sam w kolejkach. Po odstaniu swego dowiadujesz się, że druczki można dostać w okienkach bez problemu. Przy odrobinie wysiłku daje się je wypełnić. Zwłaszcza jeśli ktoś tak jak nasz Franc już to robił. W dodatku oprócz arabskiego jest on po francusku. No może z wyjątkiem CIA (czy jakoś tak) czyli coś jakby marokańskiego „peselu”.

Za pierwszym wjazdem wpisują go w paszport i już go masz. Potem jeszcze deklaracja importowa pojazdu i już można iść w kolejki do okienek. Pogaduszki przy śniadanku

opłaciły się bo część fali już przeszła. W galimatjasie na granicy spotykamy anglików z promu. Jadą DRZetem, DR i fantazją na temat motocykla hard enduro. Silnik i chyba rama z Dr biga reszta to rękodzieło autora. Chciałem zrobić zdjęcie ... i o mało nie straciłem aparatu. Dalej byłem ostrożniejszy. Zdjęcia robiłem z rękawa. Wreszcie stajemy przed okienkiem. Pan coś tam klepie w komputerku. Warstwa kurzu na sprzęcie za wyjątkiem klawiatury dochodzi do pół centymetra.

Aż dziw, że to działa w tych warunkach. Potem okazuje się, że mamy iść jeszcze w jedną kolejkę po drugiej stronie. Tego za wiele. Jurand wchodzi do pierdzielnika, przepraszam urzędu, bocznymi drzwiami. W tam pan oficjer siedzi na biurku, a pucybut czyści mu buty. Włazimy wszyscy. Oni coś tam gadają z szybkością erkaemu. My gadamy po swojemu. Zabierają nam paszporty. Potem następuje gadka, że czegoś tam nie mamy. Chodzi o deklaracje importowe. Dajemy zielone druczki. On, że nie ma pieczątki. My no to, żeby postawił. Wyciąga jakiegoś gościa, coś gadają. Wyrwa jeden kawałek i stawia pieczątki. Wala pieczątki w paszporty. Już po dwóch godzinach wyjeżdżamy z granicy.

Za granicą nic się nie zmienia. Wolne parcele są wykorzystywane na składowane śmieci. Wszechobecny bajzel pył i kurz. Banki są zamknięte. Zastanawiamy się nad bankomatem. Przy okazji obserwuje ciekawą technikę Jean Claudea. Facet jest niespecjalnie wyrośnięty, żeby nie powiedzieć niski. Zatrzymując się zsuwa się z siedzenia na jedną stronę. Aby podeprzeć się jedną nogą na drodze. Druga zostaje z kolanem na wysokości siedzenia. Odpychając się przy starcie wraca na siedzenie. Parkując przechyla motor na prawo i zanim się zatrzyma wyciąga nogą boczną stopkę. Zatrzymując się opiera na niej motor i schodzi. Zatrzymujemy się przy jakimś sklepie. Chłopaki pilnują sprzętów. Ja z francuzem idę do sklepu.



Coś tam gadają. Kurs wymiany jest dobry więc robimy wymianę i zakupy. Generalnie z Maroka nie można wywozić ichniejszych pieniędzy. Wymienić z powrotem też nie, chyba że zachowało się kwit z banku. Zdjęcia na pożegnanie.



Francuzi jadą w swoją stronę, my w swoją. Stacja benzynowa, tankowanie i wyjeżdżamy z miasta. Jeśli chodzi o nawigację to mieliśmy dwa GPSy . Jeden z automapą kończącą się na europe. Tutaj nie pokazywał niczego więcej niż zwykły kompas. Drugi sprzęt był bardziej fachowy. Mieliśmy stare PDA na którym jeden sprytny kolega zainstalował udawacz garmina i mapę topograficzną Maroka. Nie dawało się na tym nawigować.

Ale jeśli wpisać weń waypointy to pokazywał kierunek i miejsce gdzie się znajdujesz. Właściwie to tak miało być. W trakcie drogi okazało się, że po rozładowaniu baterii wszystkie te magiczne rzeczy uleciały sobie w kosmos. Byliśmy w punkcie wyjścia. GPS analogowy czyli mapa plus kompas. Działało to bez zarzutu i nieczułe było nawet na spadki napięcia.

Pierwszy kierunek na przylądek Trez forchez. Droga przez góry ponad Nadorem pierwsza klasa. Wąska i kręta. Niestety widoki straciliśmy po wjechaniu w chmury. Powoli zjeżdżamy w dół. Wyjeżdżając z chmur oglądamy Melille i mierzeje z góry. Zbliżamy się do przylądka i latarni.



Brzeg jest skalisty a widoki na błękitną wodę i rozbijające się fale są niesamowite. Po śniadanku na skałach jedziemy dalej. Wjeżdżamy w jakieś miasteczko. Znowu pył, kurz i bajzel. Wchodzimy do jakiegoś knajpy. Zamawiamy po herbatce. Tutejsze specyfiki są okrutne. Mięta jest spoko, ale nie z taką ilością cukru. W dodatku napój jest potwornie mętny. Mamy obsesję na punkcie sensacji żołądkowych. Wody którą dostaliśmy do popicia na wszelki wypadek nie ruszamy. Przy okazji obserwujemy miejscowy suk (bazar) Przed nim stoi cała masa samochodów. Same białe stare mercedesy-beczki. To miejscowe taksówki.



Co chwila jakiś odjeżdża upchany jak puszka sardynek. Oprócz kierowcy z przodu siedzą dwie osoby, na tylnym siedzeniu cztery. Puki nie ma kompletu taksówka nie rusza z miejsca. Płaci się od łebka. Jeśli chodzi o zwyczaje na drodze to nie ma problemów. Trąbi się głównie na pozdrowienie. No może na jedno trzeba uważać. Samochód, ni z tą ni zową, może zatrzymać się na środku drogi. Przecież trzeba pogadać z kolegą.... Ze wzruszeniem żegnamy asfalt i ruszamy w pyle szutróweczką. Wprawdzie nie ma jej na naszej mapie, ale jakby to nam nie przeszkadza. Zaczynają się problemy z ładunkiem

Mariana. Właściwie jego majdan jest pospinany ekspandorami. Właściwie ta metoda jest do bani. Kanister i twarde spinamy taśmą którą wziąłem na wsiaki pożarny. Znów opatrność. Zmieniamy drogę na inną, mniej pyłącą i z luźniejszą nawierzchnią. Niestety po kilku kilometrach kończy się ślepo w jakiejś kopalni.



Jedziemy w inną, losowo wybrana stronę. Kończymy na czyimś podwórku. Znowu coś nam nie wychodzi.



Jakieś dzieciaki nam pokazują kierunek. Z kozami to oni tam przechodzą bez bólu. Ja się czuje jak na zjeździe po ostrych schodach. Niestety zawrócić już nie dam rady.



Pierwsze koty za płoty. Zaczyna się robić fajnie. Potem znajdujemy fajną pistę i dmuchamy w stronę morza.



Domy wokół wyglądają jak garaże. Nie mają okien, a jak mają to malutkie. Płaskie dachy. Na dachach różne manele. Za to nie raz pojawia się na tych przybytkach satelita. Kobity na nasz widok uciekają w popłochu lub zakrywają twarz. Znać obcych nie widuje się tu często. Zjeżdżamy fajną ścieżką w dół. Z daleka przy brzegu widać coś dziwnego. Tniemy w tamta stronę. Na plaży stoi statek.



Wrak ma w środku dziurę na wylot. Gdyby nie ostre krawędzie można by przez niego przejechać na drugą stronę.



Ponoć stoi od pięćdziesięciu lat. Dziwne, że z taką dziurą dotarł aż na brzeg. Po obiedzie ruszamy dalej asfaltem wzdłuż brzegu w poszukiwaniu noclegu. Nad wodę raczej nie daje się zjechać.



Na poszukiwaniach zastaje nas noc. Podczas jednej z wycieczek w poszukiwaniu zjazdu nad wodę Marian łąduje w kanale burzowym przykryty moturem. Na szczęście to twardy gość i byle motur krzywdy mu nie zrobi. Przy odrobinie pomocy obaj wracają do pionu i jedziemy dalej. W końcu udaje nam się znaleźć jakiś zjazd z klifu nad wodę. Nie zdążyliśmy czegokolwiek wyciągnąć a już się zjawilo kilku lokalesów coś tam gadających. Nie umieliśmy rozpoznać ich intencji ani tym bardziej zamiarów.

Udaliśmy się w długą. Po kilku kilometrach zatrzymuje nas parol policji. Kontrola dokumentów. Pytamy o nocleg. Wskazują jakieś oświetlone miejsce. Góra 500 metrów. Ogrodzony teren ma spory wyasfaltowany parking i kilkanaście domków. Ani chybi kemping. Tyle, że zamknięty. Wyciągamy jakiegoś kolesia, z którym nie możemy się dogadać. Na migi ustalamy, że możemy spać na ulicy albo na trawniku między ulicą a ogrodzeniem. O wejściu na teren nie ma mowy.

Boimy się trochę o motory. Ponoć to dziki kraj. Zасыpiamy szybko. Nad ranem budzi mnie zatrzymujący się obok samochód. Ktoś z niego wychodzi nie gasząc silnika. Słysząc jakieś rozmowy. Wychylam ukradkiem oko przez suwak. Nie widzę motorów. Namiot mi zasłania. Coś dziwnego leży na drodze obok samochodu. Goście gaszą silnik. Czego oni chcą ? Coś zostaje rozwinięte. To dywanik. Zaczyna się rytuał i śpiewy. Ot pobożni muzulmańscy pielgrzymi zatrzymali się pomodlić o świcie. Nasze motory mają w głębokim poważaniu.



Przedstawienie było o tyle ciekawe, że do tej pory wydawało mi się, że to polega wyłącznie na pokłonach i tyle. Cała procedura jest o wiele bardziej złożona. Wymaga kilku bardziej złożonych układów. Po spektaklu obserwowanym z ukrycia jeszcze przymknąłem oko na chwilę.



Rano podczas pakowania zatrzymuje się obok nas jakiś Raszid ciężurawką. Włazi pod spód i coś tam cmoka. Gada przez komurę i jęczy. Z ciekawości zaglądam pod auto. Główka mostu bucha żarem jakby ktoś ją wyjął przed chwila z kowalskiej kotliny. Olej kopci się niemiłosiernie. Gdyby miał dostęp powietrza pewnie zapaliłby się żywym ogniem. Wygląda na to, że na ataku rozwaliło się łożysko. Gość jechał, aż się zespawało. Zatrzymał się jak zaczęły mu zęby przeskakiwać. Nie wiele brakuje aby główka stała się kula ognia. Zatrzymuje innego Raszida i coś tam gadają. Po chwili wyciąga z kieszeni plik

forsy grubości cegły i daje kilka banknotów drugiemu kierowcy. Ten jedzie do wsi, chyba po mechanika. W trakcie porannej kawki konwersujemy trochę z innym lokalesem. Pytamy o stację. Ciężko nam idzie ta rozmowa, łapy bolą, że hey.

Dowiadujemy się, że jest we wsi. XTeki mają zasięg 200 kilosków. Wprawdzie chłopaki mają ze sobą po kanistrze, ale wolimy je zostawić na góry. Wjeżdżamy do wioski. Środkiem drogi turla się stara dacia i trąbi w niebogłoso. W pewnym momencie zatrzymuje się na środku drogi i wyciąga wagę. I stawia na drodze. Szufelką z bagażnika do miski nabiera sardynki.



Obwoźna hurtownia rybna. A coś co wyglądało na garaż jest spożywniakiem. Jedziemy dalej i zatrzymujemy się przy innym podobnie wyglądającym sklepie. Delikatesy Said i Żoad mają wszystko czego potrzebujemy. Od właściciela mięsnego z cichym kantorem w Nadorze wiemy, że chleb to „hobs”. Tu kolejna lekcja „talata hobs” to trzy chleby. Said zna kilka słów po angielsku, my złapaliśmy kilka francuskich jest coraz lepiej.

Przed sklepem stoi baniak a na nim lejek. Pytamy gdzie jest stacja benzynowa. Gość mówi, że tu. Gdzie tu? No on sprzedaje paliwo. A po ile? Po osiem. Kurcze jak to jest na stacji jest ponad dychę? Gość pyta czy „ruż” jest „sawa”. Z kąd ja mogę wiedzieć. Mówię „sawa”. Idziemy do pomieszczenia obok sklepu.



Tam całe sterty plastikowych baniek. Odmierza dwie butelki po pięć litrów, bierze lejek, kawałek koszuli i idziemy tankować. Koszula robi za filtr. Tankowanie pierwsza klasa. Aszrin liter to dwadzieścia litrów.



Przy okazji buduję nowy uchwyt na butelki z napojami. Oczywiście w technologii rejli. Muszę zgłosić patent do afripedii. Zaopatrzeni jedziemy w góry. Na rozjeździe nie możemy się zdecydować w którą stronę jedziemy. Drogowskazy po arabsku są dla nas jeszcze zbyt dużym wyzwaniem jak na drugi dzień podróży .



Nie jesteśmy pewni czy jedziemy tą drogą która jest na mapie. Mapa pokazuje asfalt tymczasem jedziemy czystej krwi szutruwą. Jedźmy na wschód tam musiała przetrwać jakaś cywilizacja. Po paru kilometrach przerwa techniczna. Patiomkinowi urwały się manele. Motamy dobytek, włącznie z amerykańskim samopompującym materacem przedziurawionym już pierwszej nocy w samochodzie.

Nagle z ostrym darcie żuźla w tumanie kurzu zatrzymuje się obok nas mercedes becзка. Gość pyta czy nie potrzebujemy pomocy. Zkąd jesteście ? Odpowiadamy Polonia, Już wiemy, że Poland kojarzy się głównie z Amsterdamem. A Poland znaczy tyle samo co Holand . Na to gość, że był w Polsce. Na dowód pozdrawia nas po polsku. Kurwa! spierdalaj! Tarczamy się ze śmiechu po drodze.

Generalnie okazuje się, że ludzie mili i przychylni. Wszyscy nas pozdwiają i w razie potrzeby są gotowi nieść pomoc. Nie zawsze możemy się dogadać ale jest cool. Czasem próba wymowy nazwy jakieś miejscowości kończy się zadławieniem własnym językiem. Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Czy jak mawia wieszcz; sikanie z wiatrem to chodzenie na łatwiznę. Zdobywamy nowe umiejętności ; Szukran to dziękuje, beslema - dowidzenia. W górach wyjeżdżamy sobie pod drzewko rozsiadamy się w cieniu i wcinamy śniadanie. Hobsy, coś jak pity od kebabu są super. Niestety nie mogę powiedzieć tego samego o bułkach. Rozkoszujemy się przestrzenią dookoła. Niedługo się okazuje się, że wcale nie jesteśmy tu sami. Niedaleko nas stado owiec prowadzi jakiś gość. Z drugiej strony ktoś inny robi coś w polu. Ruszamy dalej. Przy okazji okazuje się, że mój patent z butelką jest również czymś w rodzaju sztucznego horyzontu.



Sorki, że nie odbierałem w trasie telefonu. Przecieki o moim pomysłe dotarły do szpecy z Turatechu. Nie dawali mi goście spokoju. Musiałem wyłączyć telefon. Niektóre domki wyglądają jakby nikt w nich nie mieszkał , ale to nieprawda.



Przy okazji odkrywamy dziwna prawidłowość. Asfaltowa równa droga z eleganckim porośniętym trawką poboczem kończy się natychmiast z wjazdem do miasta. Natychmiast pojawiają się dziury i tumany kurzu wznoszone przez każde przejeżdżające auto. Miasta wyglądają podobnie. Obowiązkowe tumany to reguła. Dziesiątki warsztatów samochodowych na drodze. Wszystko łącznie ze składaniem silników odbywa się na ulicy. W środku warsztatu z pewnością nie ma wystarczającej ilości kurzu. Kiwaczki w XTEkach piszczą jak drzwi od statoly. Niestety smarownicę zgubiliśmy w górach. Zajeżdżamy do warsztatu. Nie mają smarownicy. Po co to komu.

Za to na wszystkich ścianach i suficie są sterty części zamiennych. Drugie pomieszczenie to lakiernia. Ale i tak malują na ulicy. Z pewnością chodzi o odpowiednią ilość kurzu. Decydujemy się na zatrzymanie w mieście. Jedzonko w knajpie. No dobra niech będzie. Sardynki z bagażnika daci, mielone mięso nakładane rękami. Choć najlepsze jest robienie frytek. Maja fajne urządzenie do cięcia kartofli. Ziemniak wkładany jest do krótkiej rurki, i ciapany z góry. Później łokciem zgarnia fryty do wiadra.



W oczekiwaniu na danie łączę po po okolicznych budach. Zatrzymuje się w sklepie muzycznym. Blaszana buda na wózku od mleka. W środku akumulator, samochodowy kaseciak i kolumny jak od radmora. Wkładasz głowę w tę blaszaną skrzynię i efekt akustyczny jest powalający. Co jakiś czas gość obmiata miotełką od kropidła całe wnętrze sklepu z kurzu. Kupuję jakąś kasetę „disco nador” Bedziemy jej słuchali całą drogę do polski. Idę dalej. Targ wodny. Stoi stado przedpotopowych Berlietów z baniakami wody. Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego.



Wracam do knajpy. Danie oględnie mówiąc jest takie sobie. Jak dla mnie w ogóle nie przyprawione. Wyjeżdżamy z miasta. Wszystkie mijane rzeki jakie widzieliśmy są zupełnie suche. Za to albo bardzo szerokie albo mają głęboko wryte kaniony. Przez drogę rzeka nie przechodzi pod mostem lecz po drodze. W miejscu rzeki jest obniżenie nawierzchni do poziomu dna rzeki a krawędzie są wyznaczane słupkami. Na jednym z przejazdów coś dostaje się pod błotnik i wrywa go z mocowań. Naprawa nie zajmuje dużo czasu. Okazuje się, że moje spodnie się rozłążą na szfach. Zszywamy je powertapem. W koncu to ona zbudowała amerykę. Ze spodniami powinna sobie też poradzić. Za to Patiomkin zarządza przyjęcie kropli przeciw bakteriom. To nasza tajna broń. Chyba są halucynogenne bo widzę Giewont.



W jakiejś miejscinie zatrzymujemy się na kawkę. Oczywiście schemat miejski ten sam. Tumany kurzu warsztaty i półtusze wiszące na ulicy. Czasem (niezwykle rzadko) obserwujemy nowoczesną technikę. Półtusze są owinięte streczem.



Do kawy zazwyczaj dają tu szklaneczkę wody. W tej kawiarni facet jest światowy. Wodę daje nam w zamkniętej butelce.



Na rozstaju dróg zostajemy zatrzymani na posterunku policji. Chyba chcą nas kontrolować. W trakcie pogawędki, oczywiście jak kto umie, nie wyciągamy nawet papierów. Za to podchodzi taryfiarz z prośbą o autoryzacja na wyjazd do innego miasta. Taki druk wybazgrany robakami ładnie by wyglądał na ścianie w ramach. Domagam się i ja takiego. Niestety nawet próba przekłóstwa suwenirem nie przynosi efektu. Policja na służbie nie zgadza się na pamiątkową fotografię. Tłumaczy ze bardzo chętnie, ale w cywilu bez munduru. To nie to samo. Robimy cichaczem z rękawa.

Po drodze mijamy gościa jadącego mopedem. Wiezie jakieś rurki. Przywiązane sznurkiem trzymetrowe rury ciągnie po prostu za sobą. W pewnej chwili próbuje szczęścia na szlaku alternatywnym. Droga krzyżuje się z wyschniętą rzeką. Daję w prawo. Z początku wolno i ostrożnie po kamienistym dnie. Potem już pełna dzida. Nawierzchnia jest równa i dość twarda. Od czasu do czasu pojawiają się mniejsze wyżłobienia, ale i tak jest zarąbiście. Dojeżdżamy do Tazy. Właściwie to największe miasto na naszym szlaku. Mamy zamiar na jakiś hotelik w medinie. Hotelik jest w piteczkę, klimaciarski, ale nie ma wolnych miejsc ani prysznic. Jest jeden pokój. Jedynecka. Pokój to łóżko i umywalka.

Jedynе okno to świetlik nad drzwiami na dziedziniec. Koszt 40 wariatów czyli mniej niż 4 euro.



Nie żebym miał jakieś uprzedzenia po szafie na promie, nie ma miejsc dla dwóch pozostałych. Wracamy na dół do nowej Tazy znajdujemy hotel Dauphine. Najistotniejszą zaletą jego jest bar z piwem i trunkami. No dobra jeszcze można się wykapać. Portier poleca nam postawić motory przed samym wejściem. Mówi żeby się nie martwić bo po drugiej stronie ulicy jest główna komenda policji. Wchodzimy do recepcji. Na głównym miejscu wisi oprawiona w ramy fotografia. Ze zdjęcia wypisz wymaluj uśmiecha się Stachurski. Jak on tu się wkręcił? Mówię do portiera, że znam gościa. On z poważną miną wyraża swoje wątpliwości i wyjaśnia.

To Mochamed V, ich król. No ryfę na początek mamy z głowy. Kąpiel, wizyta w barze. Zrobiło się miło. Wychodzimy na miasto. Na ulicy gostek robi jakieś tam szaszłycki. Po ochydnych trawellanczach z torebki mam ochotę na coś normalnego. No kurcze są przecież pieczone. No nic nam nie będzie. Po pierwszych gryzach okazuje się, że przypieczone to one są ale tylko z wierzchu. W środku to jeszcze żywe mięso. Na wszelki wypadek wracamy do hotelu na kilka kropel odtrutki. Jakiś gość się do nas podłącza i nam stawia. Ot gościnność. Eksmitujemy się z baru taryfką do Taza Alolia. Czyli na starówkę. Taryfka to fiat uno na szafie 547 tys kilometrów. Oprócz wspomnianych wcześniej beczek, podstawy komunikacji osobowej w Maroku, są jeszcze miejskie małe taksówki. Najczęściej fiaty uno i coś jak pali/siena tylko heczbeki. Czasem zdrażają się luksusowe dacie logan. Co ciekawe wszystkie małe taksówki są w danym mieście jednego koloru. W Tazie były niebieskie. Jedziemy z gościem na medinę. Włazimy w labirynt wąskich uliczek. Mimo późnej pory, wszystko żyje w najlepsze. Szewcy naprawiają buty, krawcy kroją ubrania, handlarze zachwalają swoje towary.



Niezwykła atmosfera. Arabowie i berberzy w swoich etnicznych strojach – po prostu czad. W pewnym momencie Patiomkin mówi, że we wszystkich przewodnikach piszą, żeby nie wchodzić po nocy na medinę. Nie pamięta dlaczego. Od tej pory we wszystkich na siłę dopatrujemy się złodziei i morderców. Ale nic, zupełnie nic takiego się nie wydarzyło. Parę spraw dziś chyba przegięliśmy. Surowe mięso, noc na medyniei. Pod koniec łążenia po labiryncie ciasnych uliczek zdarza się coś niezwykłego. Słyszymy jakieś śpiewy. Dochodzimy do jakiś drzwi za których dochodzi muzyka. Spodziewamy się jakiejś knajpy lub czegoś w tym stylu. Ostrożnie wsadzamy nos za drzwi. Spora pusta sala wyłożona dywanami. Z apsydy, tak to się chyba nazywa, dochodzi światło i dźwięk. Wchodzimy po krętych schodach. Goście nie przerywając śpiewu, gestem proszą o zdjęcie butów i zapraszają do środka. Muszę przyznać, że niezwykły śpiew i akustyka miejsca robią piorunujące wrażenie. Między pieśniami dostajemy herbatkę. Okazuje się, że jesteśmy w jakiś czystym domu – chyba coś w rodzaju meczetu. Faceci śpiewają jakieś tradycyjne pieśni. Dostajemy na do widzenia wizytówkę ze zdjęciem. Oczywiście wszystko co jest tam napisane jest dla nas absolutnie nieczytelne. Na ulicy znajdujemy Juranda który nie zdecydował się na wejście. Po nocy pełnej wrażeń ostro po północy wracamy grzecznie do łóżeczek.





Nie chodzi mi o to, że do tej pory było płasko jak na mazowszu. Powiedzmy Rif to takie świętokrzyce, a to co przed nami to już raczej jak taty. I żeby nie było, że świętokrzyskie to w jakiś sposób gorsze są. Chodzi o skalę odniesienia. Wstaję znowu jakoś chwile przed chłopakami. Jakoś tak dziwnie mam, że jak nie muszę wstać do pracy to wstaje mi się lżej, wcześniej i w ogóle jakoś łatwiej. Przez uchylone drzwi do knajpy widzę naszego portiera drzemiącego przy stoliku z głową złożoną na dłoniach. Klasyczna pozycja na smakosza. Spakowałem się objuczyłem motura i ruszam w miasto zdobyć drogą kupna nasze talata hobs. Szybko okazuje się, że sklepy to zamknięte są o tej porze. Pamiętajmy, że nasza ósma jest szóstą w maroku. Za to na skwerku goście na murku grają w jakąś grę. Ruchy

są bardzo szybkie. Zapuszczam żurawia. Na murku są wymalowane pola. Pionki to kamyki w dwóch kolorach. Jadą jak automaty. Nie ma czasu na zastanawianie się nad ruchem. Zawodowcy. Zaraz, zaraz oni grają w warcaby.



Jedyne otwarte lokale to kawiarnie. Odwrotnie jak u nas. Widać co jest tak naprawdę ważne w życiu ludzi. Chleb może poczekać ważna jest poranna kawa. Goście siedzą sobie w knajpce lub przed nią i sączą sobie kawkę, przeglądają gazetkę, spoglądają w telewizor, czas płynie wolno. Mieliśmy dziś wstać wcześniej, nadal zamierzamy dotrzeć do Merzugi. Wprawdzie czasu mało, ale był to jedyny planowany punkt programu. W ogóle ta afryka jakaś dziwna. Nie ma murzynów, wokół zielono, normalne drogi, prawie normalne miasta. Żeby zobaczyć pustynie, oazę czy takie normalnie z afryka kojarzące się przybytki trza pruć tysiąc kilometrów. Pieprzyć priorytety.

Wtapiamy się w rytm lokalesów. Zamawiam kawkę, biorę gazetkę. No nawet z tytułami nie bardzo sobie radzę. Literki wprawdzie nie przy mnie pisane ale mogę puścić wodzę fantazji patrząc na obrazki. Luzik. Knajpki tutaj prawie zawsze są wykładane wzorzystymi kafelkami. Uwaga Krakusy: kafelkami nazywamy flizy. Wzorki są zarąbiście fajowe choć nie wiem czy bym sobie takie w łazience zrobił. Kurdęcja czas jakby rzeczywiście zwalnia. Faceci w knajpie spędzają dzień i jest kul. Dopiero teraz do mojej świadomości dociera; w żadnej knajpie nie widziałem kobit. O dzizas czy ja śnię? Oni to sobie umieją poukładać świat. Wracam przed hotel. Chłopaki wiążą tobołki. Przed hotelową knajpą spotykam Mazida. Unikat, gada po angielsku. Opowiada mi o lokalnych atrakcjach. pokazuje gdzie

warto pojechać. Jest kimś w rodzaju przedstawiciela lokalnego magistratu, lub coś w tym stylu. Daje mi swoją komure jakbym czegoś potrzebował.

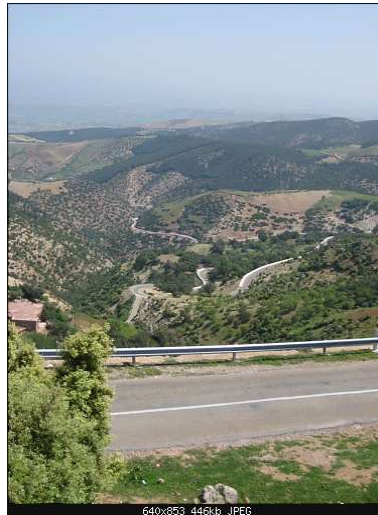


Chłopaki są gotowi, ja też. Dzisiaj bojkotuję lepiące się motospodnie, jadę w dzinach. Wyciągnięte ze spodni ochraniacze mocuję w technologii rejli, plastrem. Ruszamy w górę. Najpierw Taza Alolia gdzie buszowaliśmy wieczorem. Kręcąc się wokół murów wjeżdżamy w jakąś bramę. Lecimy uliczkami medyny i wpadamy prosto na suk. O rzesz ty co tam się dzieło. Przed oczami staje mi Franek Dolas i „czarne przegrywa czerwone wygrywa, każdy zagrać może, każdy szczęściu dopomoże”. Kto nie wie o co chodzi, niech jeszcze raz obejrzy „Jak rozpętałem druga wojnę światową”. W bezpiecznej odległości od maszyn zbiera się tłumek gapiów.



Musimy wyglądać jak ufo bo tu nie używa się kasków. Co najwyżej na głowę zakłada się nocniki. W jednym ze sklepów kupuje śniadanko na dziś, zwyczajowe hobsy i bonus trak;

nazywa się to harisa. Taka lekko paląca przyprawa, to czerwone z kebabu. Ruszamy w dalszą drogę. Droga wskazana przez Mażida okazuje się bajkowa. Wiedzie wąwozem do przełęczy, nie ma prostych.



Na parkingowym murku pod przełęczą robimy śniadanko. Widok w dół jest w cipeczkę jakby powiedział Ropuch. Droga z Tazy wiję się jak dżdżownica. Chlebki maczane w harisie zmieszanej z majonezem wciągamy ze smakiem.

Na przełęczy spotykamy skutersa. Sprzęt jest rozbebeszony. Wygląda jakby robił kapitalkę. Gość jednak mówi że wszystko jest „sawa”. Dopiero teraz dostrzegam, że nigdzie nie ma żadnych zdemontowanych osłoi leżących na ziemi. Normalny stritfajter zażygany olejem. Wsio normalno. Jedziemy dalej. Okolica coraz mniej zaludniona. Góry, drzewa, pista i my. Zatrzymujemy się przed wiejskim sklepem. Właścicielem sklepu jest Deres. I nie chodzi o to, że chodzi ubrany w dresy. On ma tak na imię. Kupujemy po Tops coli i gawędzimy z Dresem i jego kolegą.

Przy okazji odkrywamy, że lokalna polokokta smakuje nam lepiej od coca coli. Nie jest tak słodka. Na koniec Jurand strzela sobie zawodową fotkę przed lokalnym sądem i ruszamy dalej.

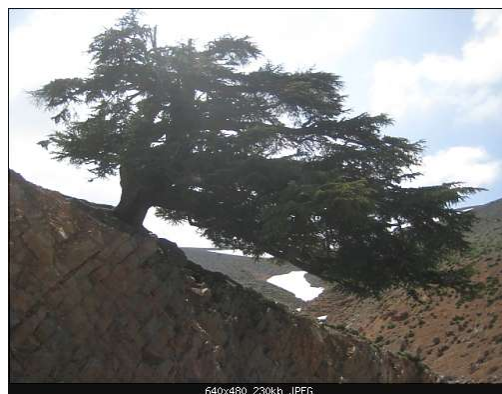


Z rzadka mijamy jakieś zabudowania. Po którejs z kolei przełęczы dostrzegamy w oddali ośnieżone szczyty. No nie, śnieg w afryce to już przegięcie. Jest fajnie, jakieś wodospady, droga na półce, jakieś zawały.





Do tego widoki-czad. W końcu wyjeżdżamy na jakąś bliżej nam nie znaną przełęcz. Nie wytrzymuję złązę z motoru i po śniegowym jezorze wspinam się na czworakach kilkadziesiąt metrów w górę. Siadam na tyłek i zjeżdżam jakby na sankach na sam dół. Potem akcję powtarzam jak przedszkolak. Ponieważ jest dość ciepło szybko okazuje się, że tyłek jest mokry, a część śniegu jest pod koszulką. Jeszcze stukamy mrożonką za bezpieczny weekend. Wysyłamy mmsa, niech się w kraju ślinią. Jest pięknie. Przychodzi lokales. Jaramy fajeczkę. Gostek odkłada niesiony worek i kładzie się na drodze. Widocznie taki zwyczaj. My też się kładziemy.



Jako, że dyskusja się niespecjalnie klei, leżymy na drodze pykamy fajeczkę i delektujemy się widokami. I co mi więcej trzeba. My miastowi w pogoni za codziennym dniem zaczynamy traktować chwile kontemplacji jak stratę czasu. Ale czy taka chwila zupełnego spokoju nie ma swojej wartości? Jedziemy dalej znaleźć jakieś miejsce na obiadek.

Jednak rezygnujemy wobec nadciągającej burzy. Tniemy dalej w nadziei znalezienia jakiegoś ciekawego miejsca dającego ochronę przed deszczem. W dolinie, dobre sobie, nadal jesteśmy gdzieś tak powyżej 1600 metrów. Zaczyna padać, a ja dziś w dzinsikach. Lecimy jakimiś zupełnie dzikimi dolinami. Mamy nadzieję że deszcz jak szybko przyszedł tak szybko zniknie. Znowu dociera do mnie myśl; Czy ja to na pewno w afryce jestem ? W afryce o deszcz to ponoć trzeba się modlić. W końcu jak zmokłem do końca zatrzymujemy się. Chłopaki opakować folią manele. Ja żeby zmienić spodnie. Ściąganie spodni i butów w płynącej mazi drogi nie jest tym co tygryski lubią najbardziej. Zwycięża jednak niechęć do mokrych gaci. Przy okazji w kilka minut wyschniętymi strumieniami płynie czerwona mazia.



W zasadzie te strumienie są wszędzie. W jednej z dolinek spotykamy kolesia z owcami. Kurde, skąd on tu się wziął. Od kilometrów nie było żadnych zabudowań. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Sprawia wrażenie jakby był wodoodporny, jakby wali go ze pada. Prosi o fajeczkę. Wtem słyszymy czyjeś wołanie z za pleców. Nikogo nie ma . Spotkany pasterz śmieje się że jego koleszka też by chciał fajeczkę. Przyglądamy się na wzgórze za nami. nikogusko. Tylko głos słyszać. Jedziemy dalej. Mija nas samochód. Odkąd pożegnaliśmy Dresę rano, to pierwszy, i ostatni. Ciekawe, że tutaj jeżdżą wyłącznie stare tyfusy i ganc nowe terenówki; hiluxy i L200. Zaczynamy zjeżdżać ostro w dół znalazła się asfalt i drogowskazy. Dociera do mnie że chcieliśmy jechać gdzie indziej. Zarządzam odwrót. Droga z powrotem przelatuje szybko jak na przewijaniu. Dla młodszych czytelników; to taka funkcja w kaseciakach, jak nie było jeszcze mp3. Zobaczcie sobie w muzeum. Na przełęcz postanawiamy przyciąć skrócikiem. Ścieżka wiedzie półkami w cedrowym lesie. Ależ to są baobaby.



Średnica niektórych pni niewiele ustępuje długości motocykla. Dojeżdżamy do polanki przy górnej granicy lasu. Przed nami stoi dom. Jakbym otworzył oczy w tatrach albo alpach. Tutaj tak się nie buduje. Przed domem masz z anteną i baterie słoneczne. Dom zamknięty. Przed domem burek który nieustannie nas obwążuje. Nieźle musimy capić. Obchodzimy dom dookoła. Mam nieodparte wrażenie jakbym był przy górskim schronisku. Murowany z kamienia ze spadzistym dachem krytym dachówką.

To nie może być jogurt. Wszystko zamknięte na głucho. Ruszamy dalej w dół. Nasza półkowa ścieżka wychodzi ponad las. Co jakiś czas większe lub mniejsze kamienie zawalają przejazd, ale dajemy radę. Prawie wszystko jest super. Widoki na całą okolicę zwalają z nóg. Powiedziałem prawie. Są dwie sprawy. Jechać da się prawie tylko po kamieniach. Ziemia po deszczu jest tak namokniona, że w najlepszym wypadku brak napędu. Zdarza się nie ogarnąć sprzętu i zaryć nosem w glinę. Druga sprawa. Jakby tu powiedzieć. Każdy ma swoje lęki. Miękną mi nogi na krawędzi wysokości. Ale lubię. Ot taka sprzeczność interesów. Za jednym z zakrętów drogę tarasują mam śnieżne jęczory.



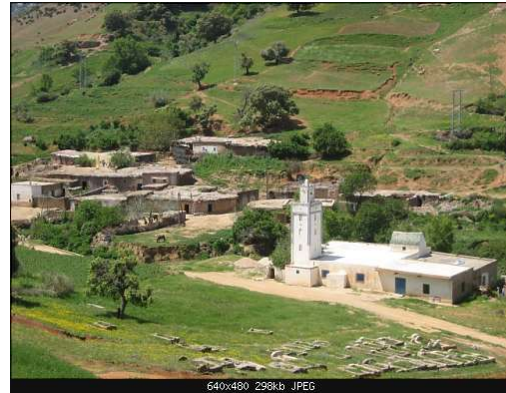
Nie ma żadnych śladów, znaczy nikt tu nie chodzi. Przejechać też się nie bardzo da. Jak to nie da? My nie damy rady? Chłopaki przytomnie zwracają uwagę że jest już późno. Wyłażę piechotką na górę, żucić okiem na okolicę. Nieźle się przy tym zmachałem. Wole utrzymywać, że to wpływ wysokości a nie kwestia kondycji. Jesteśmy sporo ponad dwa tysiące. A ja najwyżej byłem na Świnicy. Tylko że tam to było adventure, zdobywanie szczytu. Tutaj jesteśmy ledwo na ścieżce prowadzącej do przełęczy. Zawijamy z powrotem na dół do schroniska. Na polance szukamy odpowiedniego miejsca na postawienie namiotów.

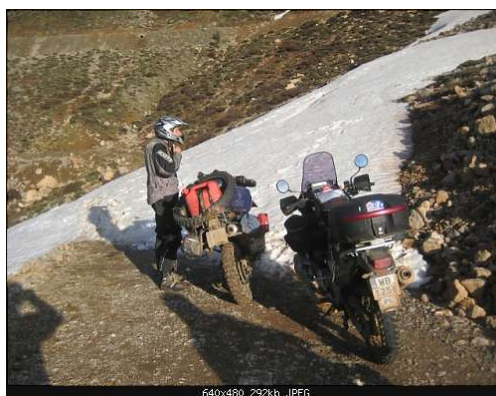
Zrywa się wiatr. Właściwie to nieźle wieje ciężko rozstawić namiot. Noc w namiotach na tej ścieżce przy zaspie pewnie byśmy pamiętali długo. Pies zaszczekał dwa razy. Odwracam się za plecami stoi koleś. Nie jestem wzrostu koszykarza, ale tak się poczułem. Koleś jest o głowę niższy. Coś tam gada rękami w stronę naszych namiotów. Właściwie nie wiemy o co chodzi. Oczekujemy na rozwój sytuacji. Koleś po taczce wchodzi na okienko i wchodzi do środka domu. Za chwile otwierają się drzwi i woła mnie do środka. Normalne górskie schronisko. Są stoły, ławki, piec i bajzel pełniący funkcję kuchni. Wszystko utrzymane w arabskich standardach porządku. Po schodkach prowadzi na górę. Piętrowe łóżka z materacami. Niech mnie ktoś uszczypnie, żebym się obudził. My zwijamy namioty a koleś się gdzieś ulotnił.



Siedzimy przy stole i jemy kolację. Ktoś wali do drzwi. Nasz gospodarz wrócił z butelką mleka. Robimy jedzenie i dla niego. I tak nieźle wytrzymał to paskudztwo. Przypomina mi się opowieść o Jojnie wcinającym, co to było, oko? Muszę przyznać że Said był twardy. Zjada pół naszego trawel lunchu i odstawia. Fajeczki wszyscy przymują tu ochoczo. Czy oni tu nie mają kiosków? Fakt nie mają. Rozmowa się nie klei, idziemy spać. Koleś ma tu jakby swój oddzielny pokój z materacem. Śpi mi się jakoś niespecjalnie. Budzę się co chwile i wałkuje dość długo zanim znowu zasnę. Wiatr na zewnątrz hula całkiem zdrowo.

Dzięki chłopaki za pomysł z odwrotem. Przynajmniej nie muszę po nocy ganiać za namiotem po tych gruzawiskach sniegu i kamieni.





Rano okazuje się, że nie tylko ja miałem kiepską noc. Marian miał sen jak osuwa się motorem w przepaść. Ja też miałem jakieś pokrętne jazdy, choć nie motocyklowe. Na śniadanko kawka i jakaś tyfuśna buła. Said wypija kawę i siada koło pieca. Nic nie mówi tylko siedzi. My się pakujemy. Nie bardzo wiem o co mu chodzi z tą pozą na pomnik. Może o kasę za nocleg. Ale jak go wpytać o co chodzi, ewentualnie o ile? Biorę jakąś kasę pytam czy ok. Mówi, że tak, ale siedzi dalej. Dopiero jak się pożegnaliśmy i ruszyliśmy to pozamykał i poszedł sobie. Ot taki gospodarski los. Ścieżką jedzie się dużo lepiej. Wiatr

osuszył glinę i nie jest tak ślisko. W kilkanaście minut dotarliśmy do śnieżnego zawału. Szybka decyzja. Rozkubaczyć sprzęty, żeby lekkie były. Jeszcze rozpaczliwa próba czy da się podjechać kawałek w górę po kamieniach. Szybko się wycofujemy z pomysłu. Afryka jako najcięższa idzie na pierwszy ogień.

Zawracam i biorę rozpęd. Wbijam się w śnieżny jęzor zaledwie na parę metrów. I tonę w śniegu po uszy. Liczyłem na parę metrów więcej. Kładę motura i linką mamy go ciągnąć na gmołu jak na sankach. Skoro Amundsen ciągnął 200 kilowe sanki to i nam się musi udać. Niestety taktyka zawodzi. Ciągnąć to se można.... tylko się nie przesuwa. No chyba, że mamy kiepską motywację. Amundsen nie miał innego wyboru.

Nie mógł zostać w domu przed telewizorem. Nie było jeszcze Discovery Travel na satelicie. Nogami zasypujemy lej po bombie czyli tylnym kole. Przesuwamy nieco w bok i wracamy do pionu. Zapinam dwa i próbujemy posuwać się na przód z pomocą dwóch pociągowych i silnika. Docieramy do krawędzi. Jest dobrze. Teraz tylko w dół. Ktoś zadaje trudne pytanie... A jak dalej nie da rady to jak wniesiemy pod górę ?



To jest głupie pytanie. Drogi powrotnej nie ma i już. Afryka już jest na dole jeszcze jeden jęzorek i jesteśmy znowu na ścieżce. Z XTekiem powinno pójść łatwiej. Na rozpędzie dociera dokładnie do tego samego miejsca. Dalej sprawy mają się niemal identycznie. Tylko na Patiomkina można liczyć. Wziął większy rozpęd. I wpijając się w śnieg strzela efektowną figurę. Wzbijając śnieżne rozbryzgi ląduje pod motorem. Jednak wyczołguje się szybko. pewnie nie mógł chuchać w łapki. Wbrew sennym koszmarom ani Xteciak ani jego driver nie lecą w dół. Oczywiście poza planowanym kawałkiem zjazdu z zasy. Pozostaje jeszcze transport maneli. Zjazd na kuferku pierwsza klasa. Próbował ktoś 📺 Objuczenie rumaków i możemy ruszać do następnej zasy. Zasy pokonujemy w niecałe dwie godziny.

Jest pięknie. Od przełęczy Tizi Bou Zabel dzieli nas jeszcze jeden zawał. Tym razem błotno kamienny. Idę na otro jak stoję....i ląduje na boku nie mogąc utrzymać na nogach złożonego motura. Stawimy na koła, zważywszy na sąsiedztwo głazów wielkości szafki kuchennej, nie jest źle. Straty są nad wyraz małe. Naderwany na szwach tankbag oraz pociapane i pocięte lusterko. Mimo wszystko działają. Wybieramy trochę kamieni z zawału i jest pięknie. Możemy jak koleś z Long Way Round z dumą powiedzieć: we construct new part road of bones.



Wyjeżdżamy na przełęcz. Jesteśmy na 2400 m npm. Prawie jak Rysy. Tam już jest inny świat. Są domy mieszkają ludzie. Z tymi domami to w naszych kategoriach myślenia to trochę przesadziłem. Wyglądają zupełnie jak nie domy. Murki poukładane z kamieni zwieńczone płaskim dachem tylko od połowy wystają z ziemi. Druga połowa jest wkopana w ziemię. Okna to wielka rzadkość. Jak są to takie malutkie. Najczęściej jedyny otwór to drzwi.

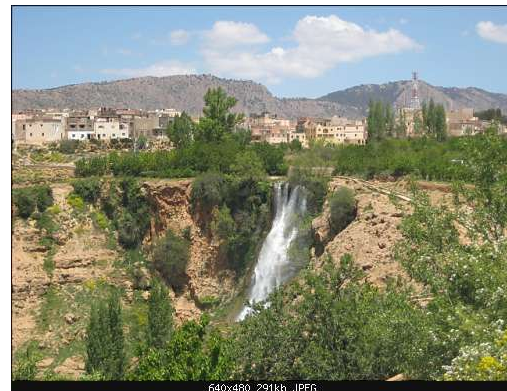


Jęzory śniegu sięgają miejscami do drogi. Czuję się jakbym w jakiś himalajach był a nie w afryce. Czy ja to już mówiłem ? Na rozstajach kierujemy się w lewo. Spoglądając to w lewo to w prawo podziwiamy widoki.

A to gustowna ziemianka z kamieni, a to kobiety robiące pranie w rzece a suszenie na kamieniach. Dzieciaki mają ubaw z przejazdu ufoludków. Koniec końców docieramy do Tamjilt. Na środku drogi stoi merol 207. Kierowca robi remont. Pasażerowie mają przerwę. Gość w ropie robi płukanek filtra olejowego. A my ciuścoki myśleliśmy, że filtry są jednorazowe. Przy okazji bagażnik dachowy ma gustowne obrysówki z lamp naftowych



W trakcie rozmowy dowiadujemy się, że dalej nie ma drogi. A moturem? Nie ma drogi. A piechotą – nie dajemy za wygraną ? Nie ma, tylko helikopter. O! helikoptera to my nie mamy. Wierzymy na słowo i zawracamy. Pozostaje nam jeszcze jedna droga z tej doliny. Tą drogą jedziemy. Po drodze spotykamy belgów. Benjamin i Anne Marie jadą rowerami. Gadamy sobie o zwykłych sprawach z kąd dokąd i takie tam. Ruszamy dalej. Mijamy jakiś las dosłownie zasypany śmieciami. Acha, wracamy do cywilizacji, a tak pięknie było. Jakieś miasteczko z własnym kolorytem. Domy już bogatsze piętrowe z oknami.



Teren coraz bardziej plaskaty. Na dziś żegnamy się z atlasem. Zostałem w tyle robiąc zdjęcia. Jakoś zamyśliłem się czy coś. W pewnym momencie motorek mi słabnie, dusi się i po chwili staje. Stoję dosłownie po środku niczego.

Droga od końca do końca, w oddali góry a pośrodku ja. No tak jak koledzy by się przydali to ich nie ma. Na dodatek temperatura która była całkiem oki zaczyna doskwierać. Muszę się troszkę rozebrać.



Chwilę siedzę sobie na słoneczku i delektuję się przestrzenią. W pewnym momencie ta przestrzeń do mnie przemawia.... A paliwo to dawno tankowałeś osiole 🤖O ja głupia pipa no jasne słabnie, przerywa i staje ..no co innego może być? No nie jest tak źle, jeszcze mam rezerwę. Mogę sobie przełączyć. Jest tylko jeden drobiazg. Gaźniki puste a pompę mam podciśnieniową. No nie jest słodko. Jakbym miał oryginał to bym włączył zapłon i napompuje. Znowu uśmiecham się do słońca. I wiecie co? Chyba mam urojenia. Znowu do mnie mówi....A co podciśnieniówką steruje ? Tylko jakbym chciał rozrusznikiem to zanim napompuje bateria wysiadzie. A słońce na to; kombinuj, kombinuj..... No jasne, ale sierota ze mnie.

Szukam wężyka od podciśnienia. A słoneczko; usta w usta nie krępuj się Albercik. Gdzieś to już słyszałem. Kto zgadnie gdzie? Chwilka kręcenia i motur gada. Wprawdzie ciężkawo na jednym garku, ale zawsze. No to jedziemy, nie jest źle. Przy tankowaniu widzę dwóch jegomości siedzą przy pompach opatuleni jakby 3 stopnie były.



Zatankowałem jadę dalej w końcu spotkałem chłopaków. Wjeżdżamy do jakiegoś miasteczka. Dziś na obiad mamy grany Tadzini niezła miska- polecam. Takie coś pieczone/duszone w glinianym zamkniętym garnku. Zawartość może być różna, ale fajne.



Przed wieczorem docieramy do słynnych lasów cedrowych. Powietrze się zmienia jest jakby bardziej wilgotno. Przy okazji okazuje się, że ta jakby ogromna równina to nie jest tak nisko. Odkąd zaczął się las jedziemy dość poważnie w dół. Wzorem lokalnych kierowców daję sobie na luz i poginam coraz szybciej. Nagle widzę przechadzającego się po poboczu psa. Dojeżdżam bliżej. To nie pies to małpa. Łazi beczelnie po poboczu jak pies na czterech łapach i nic sobie nie robi z przejeżdżających samochodów. W dół jedziemy dobre 15 minut. Ja cały czas na luzie.



Wjeżdżamy do miasta. Dziwna sprawa, wszystkie dachówki są zielone. Rozglądamy się za hotelem. Łądujemy w rynku. Jeśli to można tak nazwać.



W recepcji pytamy gdzie zostawić motory. Za godzinę zamykamy bar. Wstawicie do środka. Kąpiemy się, wstawiamy motory i ruszamy w miasto. Patiomkin ma chcię na kebaba. Łazimy po medynie. Tu nie ma kebabów ni hu hu. U jednego kolesia bierzemy bułę z nadzieniem. Prawie jak kebab tylko w środku jajko. Nawet niezłe. Po jakiś czasie lądujemy w łóżeczkach i natychmiast następuje odlot i tak do rana.

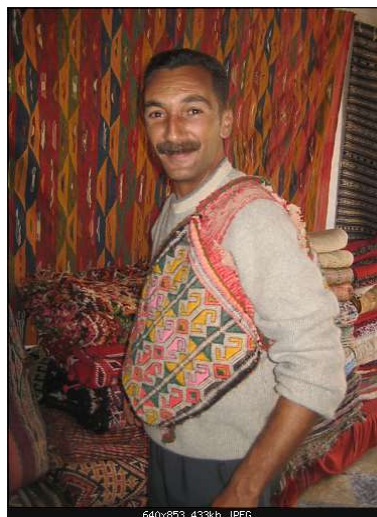


Rano wstaję dość wcześnie. Oczywiście jak na marokańskie warunki. Wytaczam chabety z baru i zamawiam sobie kawkę. Zasiadam sobie przed knajpą i patrzę to tu to tam. Wolno sączę kawinę. Świat staje się naprawdę piękniejszy. Nie istnieje batalia z trollami o

ściągnięcie z łóżek i postawienie do pionu. Kurde zaczynam lubić tych arabów. Nawet bajzel wokół mi nie przeszkadza. Jakaś parka młokosów kombinuje coś przy XTeku Patiomkina.



Babka pewnie mówi; kupiłbyś mi stary taki. Dzieciaki bym do szkoły woziła. Całą szóstkę na raz bym zabrała. Nie jak tym skutersem muszę na dwa razy obracać. A i do markieta na raz po zakupy na cały tydzień bym obróciła. Nie musiałyś Abdula z furgonem ciągnąć. Po kawce przechadzam się po rynku. Niestety bilety na poranny seans w kinie Rif wszystkie wyprzedane i kawiarnia obok też zamknięta. Na szczęście sklep obok otwarty. W środku goście z kotem pospołu siedzą na stercie dywanów i piją herbatkę. Na mój widok jeden zbiera się do prezentowania co fajniejszych zabawek. Ale luzik, nie nachalnie. Wszystko oczywiście jest oryginal berberian style. Tutaj mister masz super sakwy motocyklowe. Zapakowałbyś gratów na tydzień jazdy po pustyni. Nie muszę chyba przypominać, że to berbryjski wzór. Biedniejsi berberowie którzy nie mieli własnych motorów nosili to na ręku o tak.



Z czeluści hotelu wypelzają chłopaki i ruszamy na szlak cedrów. Na drodze wybieramy sobie gustowną polankę na spożycie śniadanka. Życie jest piękne. Podczas OT1 czyli smarowanie łańcuszka załatwiam się jak dziecko. Po ruszeniu coś mi wyje. Dłuższy czas wsłuchuję się co to może być. Może krzywo napięty łańcuch. Zatrzymuje się i wszystko się wyjaśnia. No kto naciąga łańcuch na centralce. Podczas operacji luzowania naciera na mnie jakiś babol z osiołkiem.

Ty, biały stoisz na mojej drodze, płac. I mimo, że widzi; zajęty jestem. Bezczelnie szturcha i wyciąga łapę. O żesz pędź mi ty smutny pacanie z tym kamienio migiem żem cięitd Puszczam wiachę i to najszybciej jak mogę. Babę chyba osłupiło z lekka. Chwile słabości pożytkuje na spakowanie narzędzi i ruszam . Niedługo potem jak mi złość przechodzi widzę golfa na boku drogi i kilku gostków. Wyraźnie mnie zatrzymują. Staję i od razu przychodzi mi do głowy przestroga francuzów. Pewnie to ci wredni handlarze kifu. Goście zamiast oferty handlowej pytają się czy mogą sobie zdjęcie zrobić. Przy czym wieszają się na mnie jak winogrona. Mersi i bonwojaż. Jadę dalej. Doganiam chłopaków. Asfalt nam się znudził. Przyjmujemy starą taktykę pierwsza w prawo. Świat staje się znów piękniejszy. Klucząc różnymi drogami docieramy nad szmaragdowe jezioro. Okolica pikna, wszędzie restauracje dla turystów.



Dalej przemy drogą drwali po spalonym lesie. Spotykamy gospodarzy. Gadamy dłuższą chwilę o wyższości swiąt bożego narodzenia.... Oczywiście nie mamy pewności, że oni mówili o tym samym.



Walimy na górę Widoki bajkowe tylko droga się skończyła. Patiomkin po raz sto trzydziesty siódmy gubi bagaże. Wkurzony sprzedaje im solidnego kopa. Krnąbrne manele jednak się od tego nie umocowały. Olewamy magiczne ekspandory margrabiego i wiążemy to chamską taśmą do czepiania motoru do przyczepki. O dziwo to załatwia sprawę raz a dobrze.



Zjeżdżając z góry spotykamy leśniczego i jego XRke z modyfikacjami w technologii rejli. Widząc prześwity płótna na oponie leśnika temat wyższości TKC nad anakami przestaje być istotny raz na zawsze. Wystarczy wyłożyć glinę na podjazdach gałęziami i można grać choćby i na slickach. Ciekawie też wygląda korek do zbiornika. Zwinięta szmata wepchnięta w dziurę na podobieństwo koktajlu mołotowa. Nad jeziorem spotykamy Roberto i kamratów z Viacency.



Makaroni jadą GSami 1200. Chłopaki jadą z przeciwka. Pokazują swoje mapy na których droga ta idzie do jakieś innej. Myśmy żadnego połączenia nie stwierdzili. Pytają jak droga. Mówimy, że fajna tylko ślepa. Patrząc na lśniące maszyny szkoda nam się robi. Pokazujemy zdjęcia z drogi. Gsy zawracają i jadą za nami. Zrobiła nam się prawdziwa wycieczka 6 maszyn.

Dojeżdżamy do skrzyżowania. Stoi terenówka na lokalnych numerach. Gość z mapą pyta coś po niemiecku i dalej dodaje po angielsku. Patrząc na jego mapę niezła. Pani z tyłu do męża: O wodospad go spytaj, może wie ;-) No jak nie jak tak, przejeżdżaliśmy. Facet trochę zdziwiony. A ja panie myślałam, że motorami to tylko Niemcy jeżdżą. Lecimy każdy w swoją stronę. Każdy pewnie lekko zdziwiony spotkaniem rodaków. Szutrówka przeplatana kawałkami asfaltu albo odwrotnie. Na zakrętach żwirek z lekka wynosi na zakrętach. Jest ciekawie. Na rozstaju dróg idziemy w lewo. Makaroni zostają na głównym. No droga półkami. Marzenie.



Choć nie jestem w stanie pokazać jej na mapie to pojechałbym tam jeszcze raz. podziwiamy lokalne cuda architektury. Wodociągo/akwedukty i barokowe mostki.



Na jednym z zakrętów Marian w ostatniej chwili próbuje zmienić kierunek i ląduje na boku. Trochę narzeka na bolącą rękę, ale jedzie. Nie ma wyjścia. Droga zaczyna się robić mniej półkowa a bardziej płaska. Pojawiają się drogowskazy.



Sporo żwiru i kamieni. Mam wrażenie że mocy mi przybyło. Niestety okazuje się że nie przybyło tylko ubyło. I nie mocy a opony. Po przełamaniu się troszkę zaczyna być fajnie. Wszystko co dobre kiedyś się kończy.

Żegnamy się z szutrą. Wyjeżdżamy na płaskie. Od tej pory niestety już wracamy. W większej miejscowości zatrzymujemy się na kawkę.



Jeszcze raz spotykamy Włochów. Dalej jedziemy już główniejszymi szlakami. Przejazdy przez miejscowości są o tyle ciekawe, że życie toczy się przy ulicy.



Zwłaszcza po zmroku odwrotnie jak u nas nabiera tempa i kolorytu. W jakieś miejscowości jedna z bazarowych knajpek nabiera w naszych oczach uroku.



Postanawiamy spróbować lokalnej aldzaziry w ramach kolacji. O dziwo poraz kolejny nie doszło do starcia z bakteriami szturmowymi. Było to zdecydowanie lepsze od trawellanczy.



Docieramy do Mykness. Masakra niema albo nie widzimy żadnych drogowskazów na Ceutę.



Dziesiątki znaków pokazujących miejskie atrakcje. Żadnych Tranzytowych. Spróbowaliśmy zwiedzić prawie wszystkie dzielnice i nic. Wkurzony do granic zatrzymuje się na środku jakiegoś skrzyżowania i pytam policjanta. Ten próbuje po francusku. My w rozpaczce mówimy „Ceuta” brak odzewu. „Seuta”. Też nic. Może „Tanger”. A Tanzir –Ok palcem pokazuje żeby stać. Przełazi na drugą stronę trzypasmowej ulicy.

Zatrzymuje jakieś auto. Coś gada z kierowcą. Wraca pokazuje żebyśmy okrążyli plac i zawrócili. Potem jechali za tamtym samochodem. Trwa to chwilę. Auto czeka na nas tamując ruch na jednej z głównych ulic. Prowadzi nas przez pół miasta aż do rogatek.

Potem wskazuje drogę i zawraca. No czad. U nas nie do pomyślenia. Jedziemy jeszcze kilka kilometrów rozglądając się za jakąś łąką na nocleg. Znajdujemy kemping.



Po woli czas kończyć, więc muszę się postarać. Bo ponoć faceta poznaje się po tym jak kończy..Tyle że ja już nie mam co pisać wszystko się kończy



Rano okazuje się, że łąpa Patiomkina nadal boli. Nic nie mówił, ale już wczoraj miał problemy z ciągnięciem sprzęgła. Robimy oplot z bandaża elastycznego i porcja prochów na śniadanie. Twardym trzeba być. Do Ceuty mamy jeszcze coś koło 4 stówek.



Nie ma już czasu na zabawę w fajne drogi. Tniemy asfaltem. Droga cud miód; kręta równa nawierzchnia. Tyle, że nic się nie dzieje. Żadnych adventure. W innych warunkach była by naprawdę super. My w głowie mamy cały czas jeszcze góry z ostatnich dwóch dni.



Można by to wyciąć plastikiem i pewnie też fajnie by było. Chłopaki jadą równo osiemdziesiątką. Takie team orders. Ja sobie troszkę przypałuje troszkę pooglądam widoczki.



Docieramy do Teutanu. Kończą się góry zaczyna się wybrzeże. Dojeżdżamy do Granicy. Teraz robimy granicę na otro. Walimy między samochodami jak tylko się zrobi choć mała luzka.

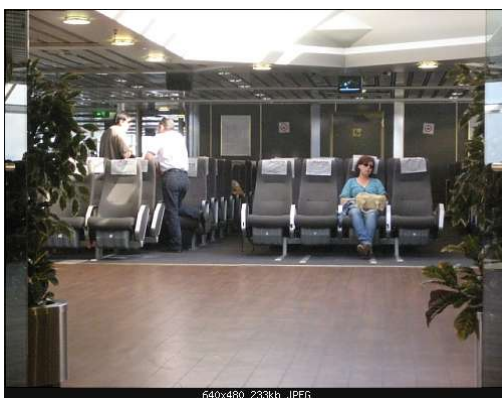


Przemy dokąd się da. W końcu już widać hiszpańskie posterunki. Oficjer wyciąga łapę po paszporty. My dajemy. Wertuje wszystkie kartki i w końcu rzuca z żalem, że nie mamy pieczętek. Z miejsca odpalamy, że po francusku to my nie. Na wszelki wypadek po angielsku też nie. Taka strategia. Espaniol też nie rozumiemy, ale to oczywiste. W końcu zdesperowany gość rzuca z wyrzutem to jak mam się z wami dogadać. I tu okazaliśmy się niekonsekwentni, bo to akurat zrozumieliśmy nie wiem czemu. Walimy jak z automatu. Polski, ruski, ukraiński, białoruski, czeski, słowacki. Z rozpędu poleciał chyba jeszcze rumuński i węgierski. Aż strach pomyśleć co by było gdyby z niewiadomej przyczyny akurat któryś znał. Na szczęście blef poliglotty się powiódł.

Gość gestem ręki wskazał tabuny kolejek kłębiące się do okienek. Włala..... Nie po to waliliśmy do oporu aby teraz wracać na początek. Ale próbujemy zawracać motory. Zagradzamy niemal wszystkie pasy, robiąc dość ostry tumult. Gość łapie się za głowę i coś tam wygaduje po swojemu. Zostawiamy motory na środku i odchodzimy do okienek. Gość rwie włosy. Wracamy i dajemy paszporty. On znowu swoje, że kolejki i pieczętki. W ramach negocjacji zostawiamy motory idziemy na pieszo.

Wprawdzie nadal jesteśmy mocno nierozgarnięci i zaczynamy nie od pierwszego tylko ostatniego. Nasz oficjer żąda jakiś tam deklaracji. Nie nie mamy. Z tyłu jakiś maj frend dopada że o załatwi. No nie po to ominęliśmy ich dziesiątki przed wjazdem na granicę, żeby teraz bulić. Wypełniamy jakiś papierek akurat wciskany przez jakiegoś „maj frend” . Papier okazał się nie taki. Był identyczny jak ten przy wjeździe. Nasz oficjer rzuca nam żółte papierki. Wypełniamy połowę rubryczek. Podajemy zwracając się per Panie

Generale i oczywiście po polsku. Facet wskazuje jakieś tam niewypełnione rubryczki. Wypełniamy jedna. Zawód wpisuje president. Facet macha w końcu ręką. Bije pieczętki i już idziemy do motorów. Wsiadamy i walimy dalej. Koniec końców granice przekraczamy w 15 minut. Chyba szybko. Na wjeździe spędziliśmy 2 godziny. Tankujemy. Ceuta jest strefa bezcłową. Benzyna kosztuje 0,70 eur. Jedziemy do portu zorientować się o której mamy prom. pani w okienku mówi odpływa za 12 minut. szybko kupujemy bilety i dzida. Trochę mi smutno bo miałem nadzieję poszfédać się po mieście. Ledwo zeszliliśmy z motorów prom ruszył. Wychodzimy na poziom pasażerski. Rzędy foteli jak w multikinie.



Duże okna i nie można nigdzie wyjść na zewnątrz. Jedyne można oglądać tv. Pijemy kawę z plastiku masakra. Podróż tym promem to jedna wielka masakra. Cała wizja transkontynentalnej podróży legła w gruzach. Widać oba brzegi. Zupełnie jak na mazurach. W cieśninie ruch jak na obwodnicy Radzymina.



Żadnych sponiewieranych drogą pielgrzymów śpiących na podłodze, żadnych rozpadających się meroli wypchanych manelami pod niebo. Nic z tych rzeczy. Z Afryki do Europy w trzydzieści minut. Jakbym w metro wsiadł na kabatach.



Z promu zjeżdżamy o ósmej. Nie mam żadnej mapy Hiszpanii. Kierownik załącza swój magiczny Gps. a ten wylicza że jesteśmy jakieś pięć stówek od samochodu. Jakby nie patrzył na miejscu będziemy w środku nocy. Nie ma rady. Trza gnać ustalamy ze ja gnam przodem a Xteki swoim tempem. Na początek próbuje normalnej drogi krajowej. Dwa trzy cztery i dzida. Dwa pasy.

Od czasu do czasu rondo, jakieś podjazdy i łuki. W sumie jest fajnie. Nie zamierzam wracać na płatna autostradę. Jedzie się zarąbiście. Po jakieś stówce kończy się dwupasmówka i zapada noc. Wschodzi księżyc. Świeci jak latania uliczna. Droga robi się jeszcze fajniejsza. Właściwie cały czas jadę nad morzem.



Koło północy docieram na miejsce. przebiema się podłączam przyczepę i walę się w kimonko. Przed trzecią docierają chłopaki. Pakujemy manele i motury. Jeszcze dwie doby

galera i to by było na tyle. Gdyby nie atrakcje we wrocku. Zatrzymujemy się na stacji na małe co nieco. Nie gaszę silnika żeby sobie troszkę pociurkał. Idę na małe co nieco. Wracam i co ? Hjuston mamy problem. Wyszycy wyszli z auta. A auto najpierw wyłączyło sobie silnik a potem sie zamknęło.

I wszystko było by gises gdyby choć wyjęło klucze ze stacyjki. Wot tiechnika. Gdyby nie pomoc Bajrasza i spółki pewnie do dzisiajbyśmy sie zastanawiali którą szybę tłuc.

